

Bujara Krzysztof

Proroctwo

Z „*Science Fiction*” nr 15 – czerwiec 2002

Koń zaparskał nerwowo, spod kopyt prysnęły kawałki skał. Mężczyzna położył dłoń na chrapach zwierzęcia. Czując znajomy zapach ogier ucichł, ale sprawiał wrażenie przestraszonego. Człowiek nie czekał na następne ostrzeżenie. Zsunął się z grzbietu konia i silnym szarpnięciem za uzdę zmusił go do położenia się na ziemi. Wyjętą zza pasa końską skórę umieścił na głowie wierzchowca, zasłaniając nozdrza. Pewien, że zwierzę nie zdradzi obecności myśliwego położył się na brzuchu i podczołgał do krawędzi urwiska.

Płynąca w dole rzeka szumiała, rozbijając się na kamienistych progach. Długie gałęzie jodeł sięgały tafli wody, kołysząc się nieznacznie w rytm lekkich uderzeń wiatru. Gdzieś w głębi lasu zakrzyczała sójka, odpowiedziała jej inna. Ptasie głosy nie niosły w sobie żadnego niepokoju. Mężczyzna zmarszczył czoło. Polegał na instynkcie swojego czworonożnego towarzysza, ale nigdzie nie dostrzegał źródła jego strachu. Leżał jeszcze chwilę w bezruchu, pogrążony w myślach. W dole rozległ się charakterystyczny trzask. Bystre oczy myśliwego natychmiast dostrzegły znikającego w wodzie bobra. Słyszając ostrzegawcze uderzenie ogona o wodę inni członkowie rodziny pośpiesznie opuścili brzeg porzucając ogryzione pędy młodych drzewek. Mężczyzna uniósł lekko głowę, jego nozdrza rozszerzyły się nieznacznie jakby węszył. Cokolwiek spłoszyło bobry, musiało kryć się w lesie, wiatr nie mógł ponieść w tamtym kierunku, zapachu człowieka.

Sójka zakrzyczała ponownie, gniewnie, przeciągle. Myśliwy przywarł całym ciałem do skały, starając się stopić z nią w jedność. Tam! Na moment, pośród krzewów, mignęła mu potężna szara sylwetka, obok niej druga. Sapnął bezwiednie widząc, jak cztery olbrzymie wilki podchodzą do rzeki i schylają łby, chłepcząc pośpiesznie wodę. Siedzące na ich grzbietach zielonoskóre postacie zeskoczyły na ziemię, śmiejąc się cicho i mówiąc coś w niezrozumiałym języku. Jeden z goblinów sięgnął po bukłak, by zaczerpnąć wody, inny natychmiast to wykorzystał, kopniakiem wrzucając kompana do rzeki. Kolejni członkowie wilczej jazdy pojawili się na brzegu pojąc swe wierzchowce i pokrzykując do siebie. Myśliwy obserwował uważnie ich ruchy, szacując w myślach liczebność oddziału, jego uzbrojenie i kondycję. Czuł rosnący niepokój. Gobliny były wypoczęte i żwawe, to znaczyło, że horda rozbiła obóz opodal. Zbyt blisko. Odczekał, aż jeźdźcy uzupełnią zapasy wody i zawrócą do lasu. Gdy ostatni wilczy ogon zniknął wśród pni jodeł, myśliwy odczołgał się ostrożnie od krawędzi zbocza. Trzymając konia za uzdę sprowadził go z urwiska, po łagodnie opadającym z tej strony stoku, po czym wskoczył na grzbiet ogiera i popędził w drugim kierunku.

- Ilu ? - Hrogarth uderzył dłońmi w uda, w dobrze wszystkim znanym geście niepokoju. Vrotwulf przywiązał ogiera do białego przy namiocie palika.

- Dwie dziesiątki, może kilku więcej. Bogaty szczep, tak wielkich wilków dawno już nie widziałem.

- Krażą na wschodzie. Teraz już wiadomo, dlaczego nikt z plemienia Krzesiwa nie przybył na święto.

- Dwudziestu łuczników, tyle samo wilków... w zasadzie damy sobie radę.

- A wiesz, ilu idzie za nimi? Horda może obozować o dzień drogi stąd. Wystarczy, żeby jeden uciekł, a będą tutaj wszyscy. Musimy zwinąć obóz, nim ich zwiadowcy nas wytropią.

- Kobiety i dzieci... - Hrogarth urwał w pół słowa, widząc ostrzegawczy wzrok wodza.

- Wszyscy będą szli tak długo, jak uznam to za konieczne. Każ składać namioty - wyraz twarzy Vrotwulfa złagodniał. - Wiem, jak ciężko choruje twa matka, przyjacielu. Wojownicy będą wędrować na piechotę, konie oddamy najstarszym i najstarszym.

- Jeśli nas dogonią, na nogach nie stawimy czoła jeździe - zaprotestował Ansgar, jasnowłosy syn Hrolfa. Jego brat bliźniak - Eginolf, tylko pokiwał głową. Obaj mieli zaledwie piętnaście lat, ale przerastali swego ojca i resztę rówieśników siłą mięśni i rozsądkiem. Vrotwulf uważał, że zasługiwali na miano wojowników, niemniej przywilej ten wiązał się również z dyscypliną i posłuszeństwem wobec przywódcy.

- Powiedziałem, na piechotę. Nie każ mi tego powtarzać, Ansgar.

- Dokąd pójdziemy? - Kraki oderwał skupiony wzrok od kamiennego grotu swego oszczepu i spojrzał w oczy wodza.

- Plemię Krzesiwa nie przybyło w umówione miejsce, a jeśli to wina zielonoskórych, zagrodzili nam drogę do Rzeki-Matki. Jeżeli chcemy zdążyć na Zgromadzenie, musimy skrócić sobie drogę przez puszcę.

- Tak też zrobimy. Ulf, polowałeś tutaj kiedyś z plemieniem Krzesiwa, znasz drogę?

- To było dawno temu - rosły, jednooki mężczyzna podrapał się po brodzie. - Puszcza ciągle się zmienia...

- Rzeki nie zmieniają koryt, góry nie chodzą z miejsca na miejsce - przerwał mu Vrotwulf. - Poprowadzisz?

- Dobrze wiesz, że tak - sarknął Ulf. - Ale musimy uważać. Za Grzbietem Olbrzyma trzeba skręcić na zachód, żeby ominąć uroczyska Ymra. Stracimy na to cztery, pięć dni.

- Pięć dni. - Wódz zagryzł w zamyśleniu wargi. Kraki spojrzał na niego z niepokojem.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział oszczepnik. - Nie pójdziemy przez Ymra. Tam demony pożerają żywcem ludzi.

- Jeśli nie zdążymy na Zgromadzenie...

- Pewnie nie zdążymy - odezwał się nagle dziwnie zmienionym głosem Eginolf. - Pewnie nie będzie trzeba iść przez Ymra. Nie byłeś dość ostrożny, Vrotwulfie.

Przestraszeni jego tonem wojownicy podążyli za wzrokiem chłopca i westchnęli mimowolnie. Słońce zaczynało już zachodzić i krwawoczerwony blask obramowywał czarną sylwetkę, tkwiącą w bezruchu na odległym o dwa strzały z łuku wzniesieniu. Jakby czując na sobie wzrok ludzi, czarny kształt poruszył się i w niebo popłynął złowieszczy skowyt. Gdzieś daleko na wschodzie natychmiast odpowiedziały mu głosy szarych braci.

- Brać broń i żywność, resztę zostawiamy! - krzyknął Vrotwulf. - Gońcie ludzi!

- Co z tamtym?! - Hrogarth wskazał palcem samotnego goblina - Pójdzie naszym śladem i poprowadzi resztę.

- Nie dopadniemy go. Jeśli zobaczy konnych, rzuci się do ucieczki, a potem zawróci i...

- Gurth! - Eginolf krzyknął radośnie i przysłonił dłonią zmrużone oczy.

- Na wzniesieniu pojawiły się dwie następne sylwetki i wilczy skowyt umilkł, niczym ucięty nożem. Malutkie z tej odległości figurki konnych, dopadły zielonoskórego zwiadowcę. Vrotwulf nie był całkowicie pewien tego, co widział, ale mógłby przysiąc, że napastnicy najechali końmi na goblina. Jedna z sylwetek zeskoczyła na ziemię i pochyliła się nad powalonym wilkiem, druga pomachała ręką w stronę obozu.

- Gurth i Starkad wrócili z polowania - powiedział Vrotwulf. - Bogowie nas wysłuchali. Nie traćcie czasu.

Kawalkada znużonych ludzi przemierzała gęsty las bez słowa skargi i gniewu. Nikt nie rozmawiał. Ciszę wilgotnego, zimnego przedświtę przerywał, z rzadka, stłumiony płacz dziecka lub parsknięcie konia. Nawet psy biegły przy nogach swych właścicieli nie wydając dźwięku. Pasma sinej mgły unosiły się między pniami drzew nadając im upiorny wygląd. Z trącanych w marszu gałęzi spadały duże krople rosy, wsiąkające w wierzchnie okrycia wędrowców. Plemię Unberogenów przemierzało puszcę w niespokojnym pośpiechu.

Vrotwulf zakładał na grzbiecie jednego z koni juki, które spadły zniecacka prosto pod jego nogi. Chociaż czujnie przepatrywał okolicę i stale nasłuchiwał, Elke znowu go podeszła. W jaki sposób ta stara kobieta potrafi skradać się ciszej od lisa, pomyślał z nagłą irytacją, patrząc na pomarszczoną twarz zielarki. W jej ciemnych oczach dostrzegł błysk przekornej satysfakcji, który niemal natychmiast znikł bez śladu.

- Ulf mnie przysłał. Już dwa razy musiał cucić omdlałe kobiety. Jeśli każesz iść dalej, wszyscy padną ze znużenia. Konie też są zmęczone.

- Wiesz, że waży się los nas wszystkich. Postój oznacza śmierć.

- Jeśli ludzie opadną z sił, te diabły nawet nie będą musiały z nami walczyć. Przyjdą i poderzną leżącym gardła.

- Odpoczniemy o świcie, na Grzbiecie Olbrzyma. Przekaż to pozostałym. I... Elke?

- Tak?

- Jak czuje się Atzel?

- A jak sądzisz, głupcze? Jak może czuć się ciężarna kobieta, której rozwiązanie właśnie nadchodzi po całej nocy spędzonej na grzbiecie konia? To łaska bogów, że nie straciła dziecka ani nie zaczęła rodzić.

- Wiesz dobrze, że nie wystawiam jej rozmyślnie na niebezpieczeństwo - warknął Vrotwulf - To moje dziecko, ale nie wolno mi myśleć tylko o nim.

Napięta twarz zielarki złagodniała zauważalnie, a w jej oczach złość zastąpiło współczucie.

- Ludzie cię słuchają, Vrotwulfie, ponieważ cię szanują. Wiedzą, że leży ci na sercu dobro plemienia i czują twój ból. Spotkamy się o świcie, na Grzbiecie Olbrzyma. Atzel będzie spać, sama przygotowuję ci coś do jedzenia.

Trzask gałązek pękających pod nogami biegnącego mężczyzny przerwał dalszą rozmowę. Elke odwróciła się i żwawym krokiem, dziwnie nie pasującym do jej wieku, podążyła w kierunku czoła kawalkady. Vrotwulf potarł palcami skronie, masując skórę, po czym spojrzął na postać.

- Hrogarth ich wypatrzył, ze skraju lasu. Są jakieś pół dnia drogi od nas, ale szybko się zbliżają.

- Kto?

- Jeźdźcy wilków. Cztery tuziny.

- Weź to - Vrotwulf zerwał z piersi noszoną na skórzanym rzemyku kościaną świstawkę - Odwołaj tylną straż. Niech wszyscy stawiają się u mnie.

- Co chcesz zrobić?

- Zdążymy dojść do Grzbietu Olbrzyma. Tam ludzie odpoczną i zjedzą. Potem pójdą dalej. My zostaniemy.

- Jak długo chcesz trzymać przełęcz?

- Jak długo będzie trzeba. Ulf poprowadzi resztę nad brzeg Skelte. Tam przygotowują tratwy. Kiedy do nich dołączymy, popłyniemy z nurtem do miejsca, w którym Skelte łączy się z Rzeką-Matką.

- Nie możesz wszystkich wojowników zostawić na przełęczy. Ulf sam nie zbuduje tratw, a starcy i dzieci nie zdadzą mu się na wiele. Będzie potrzebował pomocy.

- Wezmę dwa tuziny chętnych, reszta pójdzie dalej. Będziecie na nas czekać nad rzeką. Jeśli gobliny przejdą przez przełęcz, puszczone konnego z wieścią. Wtedy odpływajcie bez wahania.

- Odpływajcie? Myślałem...

- Nie myśl, Starkad. Wykonuj moją wolę. Ulf to dobry tropiciel i przewodnik, ale wśród ludzi nie ma posłuchania. Ty ich zaprowadzisz na Zgromadzenie.

- Tfu, Vrotwulf, gadasz, jakbyś już śmierci patrzył w oczy. Spotkamy się nad rzeką.

- Oby, przyjacielu. Oby Pan Wilków czuwał nad nami wszystkimi.

Kraki uniósł się lekko na łokciach i wysunął głowę znad skalnego nawisu. Promienie słońca prażyły go w plecy, a nagrzane kamienie w brzuch. Oszczepnik popatrzył tęsknie na leżący obok skórzany bukłak, ale tylko obliznął spierzchnięte usta. Bardziej od pragnienia irytowała go myśl o walce z pełnym pęcherzem. Podrapał się po udzie i zmełł w ustach bluźnierstwo. Przeklęte obozowe psy, pewnie znów przywlokły do namiotu pchły. Spojrzął znowu na bukłak, niezdecydowany. Wtedy w plecy trafił go malutki kamyk. Nie odwrócił głowy. Wiedział, że Eginolf leży na skale ponad jego pozycją. Zapchlone psy i zaczepliwe młokosy stanowiły dwa największe utrapienia w nieskomplikowanym życiu Krakiego. Napiął mięśnie poirytowany i ciekawy zarazem, czy chłopiec jeszcze raz odważy się rzucić kamykiem.

Ponad cichym szumem drzew, poniósł się przenikliwy krzyk pustułki. Rana! Krakki rozpoznał ten dźwięk od razu, słyszał go wystarczająco często. Wróg znalazł się w polu widzenia Rana! a to znaczyło, że jeźdźcy wilków są u wylotu przełęczy. Poczuł, jak na czole skrapla mu się zimny pot. Wytarł dłonie w skórzane okrycie i chwycił mocny oszczep. Kątem oka pochwycił czubek głowy Vrotwulfa, wychylający się zza sąsiedniej skały. Wtedy dobiegł go cichy szcęk deptanych kamieni. Vrotwulf wysunął się bardziej z kryjówki w rękach trzymał łuk. Jeszcze jeden potracony kamyk, tym razem bliżej.

- Ulryk! - Vrotwulf przyklęknął w miejscu, naciągnął cięciwę i puścił w chwili, gdy dotknęła jego policzka. Czarno- pióra strzała pomknęła w dół. Jadący na czele pościgu goblin, złapał się z chrapliwym jękiem za sterzące z piersi drzewce i spadł z siodła. Uwolniony od ciężaru swego pana, wilk przystanął na moment zbity z tropu i druga strzała przeszła mu bok. Zrywając się na równe nogi, Krakki ogarnął wzrokiem dno przełęczy. Cztery tuziny zielonoskórych tropicieli, olbrzymie wilki, gwałtowne ruchy, krzyki i wrzaski agonii. Dali się zaskoczyć! W dół posypały się kolejne strzały. Jeden z jeźdźców zaczął piąć się w górę zbocza, prosto na strzelającego w innym kierunku Hrolfa. Eginolf i Ansgar krzyknęli jednocześnie. Kiedy wilk skoczył do przodu, dwie strzały trafiły go po obu stronach szyi. Jeździec wrzasnął krótko i wyleciał z siodła padającego zwierzęcia prosto na sięgającego po nóż Hrolfa. Krępy człowiek i nieco mniejszy od niego, ale zwinniejszy goblin, potoczyli się w dół zbocza wymierzając sobie kopniaki i ciosy pięściami.

Kraki cisnął swój oszczep i uśmiechnął się widząc, jak kamienny grot przeszywa ukośnie brzuch goblina, przechodząc przez skórzane siodło - prosto w kręgosłup wilka. Połączeni ze sobą śmiertelnymi więzami, zwierzę i orkoid, runęli na kamienistą ziemię. Wilk rzucał się jeszcze przez chwilę, w konwulsjach

miotając ciałem martwego pana, potem znieruchomiał. Będzie z ciebie kołnierz, obiecał mu w myślach Kraki i pochwycił przytroczony do pasa kamienny topór. Nadszedł czas zabijania.

Dwunastu, może trzynastu jeźdźców zginęło w pierwszej chwili, przeszytych czarnymi strzałami. Ludzie z plemienia Leśnego Konia słyneeli z wprawy we władaniu łukiem. Pozbawione przewodnictwa wilki próbowały skakać na najbliższych napastników, łucznicy powalili je jednak na ziemię. Wtedy w powietrzu świsnęły strzały goblinów. Trzymając na wodzy podekscytowane zapachem świeżej krwi wierzchowce zwiadowcy zaczęli strzelać do wychylających się zza głazów ludzi. Hrogarth dostał pierwszy, prosto w bark. Upuścił łuk i usiadł za skalną bryłą, próbując wyrwać pocisk z rany.

Vrotwulf dogonił sadzącego w dół zbocza Krakiego i zrównał się z nim. Jakiś wilk skoczył w jego kierunku, topór wodza przeszył ze świstem powietrze. Kamienne ostrze nie przecięło twardej skóry drapieźnika, ale impet uderzenia strzaskał mu szczękę. Skomląc przeraźliwie zwierzę, podkuliło ogon i odskoczyło w bok, prosto pod uzbrojoną rękę Gurtha. Miażdżona czaszka chrupnęła obrzydliwie.

- Ansgar! Eginolf! Alfgar! Strzelać dalej! Reszta na dół!

Kamienne topory i najeżone drewnianymi kolcami maczugi poszły w ruch, siejąc spustoszenie pośród lekko uzbrojonych, przyzwyczajonych do walki na odkrytej przestrzeni goblinów. Jeden za drugim, zielonoskórzy spadali z siodła, brocząc czarną posoką, ich wierzchowce kąsały wściekle i drapały pazurami, umierając pod lawiną ciosów. Kraki i Vrotwulf szli przodem, niczym kosiarze śmierci, wykonując szerokie cięcia toporami. Gurth skoczył w ślad za nimi, ale potknął się o goblinińskiego trupa i upadł na twarz. Jeden z jeźdźców uderzył piętami w boki wilka i popędził go na bezbronnego mężczyznę. Kiedy długa czarna włócznia uniosła się do ciosu, Gurth krzyknął coś niezrozumiale i zasłonił twarz łokciem. Nad jego głową zafurkotał ciężki topór. Ciśnięta przez Hilidora broń rozszczerpiła pierś goblina niemal ją przepoławiając. Ciało zabitego wyleciało szerokim łukiem w powietrze i upadło na skały. Wilk zakręcił się w miejscu niespokojnie, szczerząc. Jakby w odpowiedzi brzęknęły cięciwy i na grzbiecie zwierzęcia pojawiły się trzy wbite do połowy drzewca strzały.

Widząc zaciskającą się pułapkę, jeźdźcy zaczęli zawracać wilki w kierunku wyjścia z przełęczy. Dwóch pierwszych strącili łucznicy, na trzeciego skoczył ze skały Ranald. Trzymając w zębach nóż chwycił goblina w locie za głowę i szarpnął gwałtownie. Kręgi szyjne trzasnęły głośno. Człowiek i martwy już orkoid upadli na kamienie. Oszołomiony zderzeniem z ziemią, Ranald poderwał się na nogi, chwytając w rękę ostrze i plując krwią z rozciętych własnym nożem ust. Szarżujący prosto na niego zielonoskóry natychmiast wykorzystał nieuwagę mężczyzny i pchnął go włócznią. W ułamku sekundy przed trafieniem Ranald pochwycił wzrokiem błysk światła na wierzchołku bronii. Metal! Gobliny miały żelazne ostrza! Grot włóczni ugodził go w lewe płuco, tuż nad sercem, drzewce pękło z trzaskiem. Upuszczony nóż stuknął o kamienie. Unberogen stał chwiejnie na ugiętych nogach, jakby nie wierzył jeszcze w okrutny los. Wtedy kolejny wilk uderzył w niego z rozbiegu uciekając z zasadzki, powalił na ziemię, pchnął swym impetem ułamany kawałek drzewca głębiej w ranę.

- Arrrgh! - Vrotwulf dostrzegł upadającego przyjaciela. Skoczył w jego kierunku. Jakiś goblin zagroził mu drogę, krzycząc coś piskliwym, przerażonym głosem. Wódz ciął bez zastanowienia, wiedziony odruchem. Rozpłatany orkoid zniknął z siodła, jakby go trafił ciężki głaz, wilk zawył przeciągle, padając na przecięty ukośnie bok. Widząc kątem oka jakiś ruch, Vrotwulf przypadł do ziemi, maczuga świsnęła nad jego głową. Przetoczył się po kamieniach i odrąbał wilcze łapy. Gorąca krew opryskała mu twarz, zalepiła oczy. Przetarł je łokciem na czas, by ujrzeć wykrzywioną w grymasie furii i strachu twarz goblina. Wilczy jeździec kopnął go w nadgarstek i topór wypadł ze zdrętwiałej nagle dłoni. Zielonoskóry podniósł maczugę do drugiego ciosu, mierząc w głowę Vrotwulfa. Jakiś cień pojawił się za jeźdźcem, górujący nad nim, nierozpoznawalny w słonecznym świetle. Rozległ się przeciągły świst. Głowa goblina, jego wzniesiona do ciosu ręka i broń zniknęły wśród nagłej eksplozji krwi. Kraki wybuchnął szaleńczym śmiechem i szarpnięciem dłoni postawił towarzysza na nogi.

Vrotwulf schylił się po topór i rozejrzał wokół. Ostatni jeźdźcy znikali właśnie w lesie za przełęczą. Blisko trzydzieści goblinów leżało martwych na skałach bądź konało z upływu krwi. Śmiertelnie ranne wilki skomlały, dopóki ich skowytu nie uciszyły topory ludzi. Zakrwawiony Hrolf klęczał przy Ranaldzie, kiwając z żalem głową, Ansgar i Eginolf krążyli przy trupach wyciągając z ciał swoje strzały. Pozostali wojownicy opatrywali swoje ranny i grzebali w sakwach zabitych orkoidów.

- Udało się! - uśmiechnął się demonicznie Kraki. Jego pokryta zasychającą czarną krwią twarz budziła dreszcz grozy w równym stopniu, co płonące gorączką oczy.

- Dostałeś w ramię. - Vrotwulf dotknął palcem szerokiego rozcięcia na ręce oszczepnika. Kraki spojrział na połyskującą pośród różowawego mięsa kość i roześmiał się ponownie.

- Nic nie czuję - oświadczył.

- Hilidor! Opatrz jego ramię! - krzyknął przestraszony ilością wyciekającej z rany krwi Yrotwulf.

- Elke się nim zajmie, zostanie tylko blizna - wysyczał przez zaciśnięte zęby Hrogarth. Palcami prawej dłoni oplótł drzewce sterczącej wciąż z barku strzały - Pomóżcie mi to wyjąć - jęknął.

- Ranald - przypomniał sobie Vrotwulf i posmutniał - Zagroził im drogę, ale nie zatrzymał. Nikt by ich nie zatrzymał w pojedynkę.

- Ale spróbował. Był jednym z plemienia Leśnego Konia. Pan Wilków przyjął jego duszę do siebie.

- Zabierzemy ciało ze sobą nad Skelte. Nim odpłyniemy, spalimy je, jeśli bogowie dadzą nam dość czasu. Zasłużył na to.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Eginolf, wycierając z krwi groty trzymanych w rękę strzał.

- Dobijemy rannych, zbierzemy łupy. Wielu z nich miało metalowe ostrza, trzeba je pozbierać. To bogaty szczep, może znajdziemy i złoto. Potem będziemy czekać.

- Myślisz, że wrócą? - bliźniak zmarszczył czoło i potrząsnął głową, bo nagły powiew wiatru wepchnął mu kosmyk włosów do oczu.

- Wrócą. To pewne, tak jak śnieg zimą. Teraz nam się udało, bo Ulryk czuwał nad nami, a oni byli dość pyszni, by nas zlekceważyć. Ale następnym razem będzie ich więcej i będą już wiedzieli, że tu jesteśmy. Módl się wraz z bratem, byśmy uszli stąd z życiem.

Horgrim wysypał zawartość skórzanego worka na skałę. Vrotwulf, Hrolf i jego synowie, przykucnęli oglądając pozbierane na dnie przełęczu łupy. Pośród kościanych amuletów, wypreparowanych czaszek różnych istot, złotej biżuterii i topornie obrobionych klejnotów, ich wzrok przyciągał w szczególności metal. Ludzie Vrotwulfa starannie odłamali wszystkie żelazne groty strzał i ostrza włóczni, znalezione przy zabitych goblinach i wsypali je do osobnej sakwy. W worku Horgrima zaś znalazło się kilka metalowych bransolet i dziwny, mały topór, nieco pordzewiały, ale doskonale wyważony. Hrolf podrzucił broń w dłoni.

- To nie goblinśka robota - oświadczył wodząc palcem po wrytych na głowicy znakach.

- Kuźnie brodaczy - skinał potakująco Vrotwulf. - Zielonoskórzy musieli go zdobyć albo ukraść.

- Krasnoludzki? - zaciekawiał się Horgrim.

- Jak oni to robią? - Eginolf kopnął z wstrętem wysuszoną czaszkę goblina i siadł na kamieniu obok ojca.

- Żelazną broń? Ze skały, która leży głęboko pod ziemią. Wykopują ją i topią w wielkich piecach, a potem formują w ostrza i pancerze.

- Dziw to, że nikt z naszych nie spróbował czegoś podobnego. Skał wszędzie pod dostatkiem.

- Młodyś, to bzdury pleciesz - obruszył się Hrolf, - Trza było słuchać, co opowiadał na ostatnim Zgromadzeniu stary Wulfhere, a nie gapić się na córki Agira. Nie każda skała się nada, a tylko brodacze wiedzą, gdzie szukać tej prawdziwej. Strzegą tej tajemnicy, jak trolle swej pieczary, bo wiedzą, że dzięki temu musimy żelazo kupować od nich.

- A przy tym mają nas za nic - sarknął Kraki przystając na moment przy towarzyszach. W ręce trzymał zdarte z wilka futro. - Te pogańskie pokurcze uważają, żeśmy są niewiele lepsi od zielonoskórych. Łaskę nam robią, że chcą handlować, a z terenów łowieckich pod bronią przepędzają.

- To prawda - odpowiedział Vrotwulf. - Dziwny to naród, krasnoludy. Mają nas w pogardzie, bo nie umiemy budować w kamieniu, tak jak one i nie znamy sekretów topienia skał. Ale nie wolno ich lekceważyć. Chociaż pod ziemią siedzą, jak te krety, bitni są i strasznie honorowi. Nastap takim na odcisk, a nie odpuści.

- I trzeba bać się ich broni - dodał Kraki - Wulfhere opowiadał, jak wymieniał kiedyś mięso i futra na żelazo w Szarych Górach. Brodacze wybrzydza i proponowali tak niską cenę, że jeden z jego wojowników nie zdzierzył i złapał za włócznię. Broń tamtych przypominała łuk, ale nie trzeba w niej było trzymać cięwiwy. Coś tylko brzdękło i strzała poleciała z taką siłą, że przeszła przez drewnianą tarczę i człowieka na wylot, i wbiła się w pień drzewa za nim.

- I co dalej? - Ansgar otworzył z wrażenia usta. - Co na to Wulfhere?

- Zrobił to, co nakazywał mu zdrowy rozum - powiedział Vrotwulf. - Zabrał ciało i odszedł, nie wdając się w zwadę.

- Po prawdzie to uciekł, bo brodacze nie chcieli już gadać - poprawił go Kraki. - Stracił wojownika, a te psy jeszcze mu zabrały i towar na wymianę, i swoją zapłatę.

- A prawda to, że u nich brody takie długie rosną, że sobie po nich depczą? - Eginolf potarł dłonią policzki. - I że ich kobiety są grube i włochate?

- Czy włochate, to nie wiem - uśmiechnął się pod nosem Vrotwulf. - Ale pewnie tak, bo pod ziemią je trzymają i nie pozwalają wychodzić na światło dzienne.

- Nic dziwnego, że się nimi nie chwala. Jakiż to wstyd mieć kudłatą babę - pokręcił głową Horgrim.
- Bo na ostatnim Zgromadzeniu słyszałem, że jak takiemu krasnoludowi włosy z brody urwać i pod koc włożyć, to choćbyś całą noc pił i tak każda będzie z ciebie zadowolona - ciągnął rozmarzonym głosem Eginolf.

- Ty smarkaczu - Hrolf wymierzył synowi kuksańca. - Niech no tylko przyjdzie do mnie Agir i jego córka z brzuchem i zaczną mi pokazywać jakieś kłaki. Rzemieniem cię pogonię wokół obozu, młokosie.

- Daj mu spokój, Hrolf- roześmiał się Vrotwulf. - Sam prosieś, żeby bliźniaków dołączyć do myśliwych. Skoro tak się stało, są mężczyznami i przede mną odpowiadają za wszystko. Straciłeś ojcowską władzę, bo to już nie dzieci, tylko wojownicy. A że do dziewczek ich ciągnie... wspomnij swoje czasy.

- Wszyscy wspominajcie - mruknął Kraki. - Tyle wam pozostało, bo my już kobiet nie ujrzymy. Pan Wilków nie zna litości. Czuję, że tutaj nam przyjdzie umrzeć.

- Idź krakać gdzie indziej, k roku - machnął ręką Vrotwulf. - A najlepiej rzuć to śmierdzące futro i prześpij się.

- Pomnisz jeszcze moje słowa, przyjacielu - odburknął oszczepnik i odszedł pomiędzy głązy.

- Co z nim? - zapytał niespokojnie Ansgar. - Aż mnie dreszcz przechodzi, jak na niego patrzę.

- W czasie bitwy chybił ciosu i odrąbał wilkowi w locie ogon. Zwierzę uciekło, a on uważa, że to zły znak. Że ośmieszył Ulryka i Pan Wilków będzie się za to mścił. Ale nie mówmy o tym. Będzie tak, jak zechcą bogowie.

- Co z toporem? - zapytał Horgrim, odbierając żelazną broń Hrołfowi.

- Tyś go znalazł, więc jest twój. Groty strzał podzielimy sprawiedliwie na tratwach.

- Jak myślicie, co robi teraz Ulf i reszta? - zapytał Eginolf.

- Słońce zaczyna schodzić w dół. - Vrotwulf spojrzał w niebo i zmarszczył czoło - Pewnie już rąbią drzewa. Do świtu powinni skończyć.

- A kiedy tamci... przyjdą?

- Nie wiem. Ciesz się, że jeszcze ich nie ma. Ale najpewniej zjawią się zaraz po zachodzie słońca.

Wiedzą, że w ciemności łuki nam się na nic nie przydadzą.

- Ale jedno mnie trapi, Vrotwulfie... - Eginolf postukał grotem strzały w kawałek wapienia. - Nie tylko krasnoludy mają żelazną broń. Gobliny i orkowie też. Jak te pokraki potrafią robić to, czego nie umiemy my?

- Wulphere brał kiedyś na spytki jednego z brodaczy, bo też go to ciekawiło. Tamten nawet gadatliwy był. Zwał się Ungrumm czy jakoś podobnie, a na nosie dźwigał kawałki polerowanego kryształu górskiego, przez które jakoby lepiej widział.

- Czarownik? - zmarszczył czoło Ansgar.

- Nie, mędrzec. Gadał tak szybko, że Wulphere rozumiał co trzecie słowo, ale jak go zapytał o goblinie żelazo, tamtemu zaraz sposepniała gęba. Wymamrotał coś tylko o zdradach, elfach, trzęsieniach ziemi i goblinach, co najechały ich twierdze w górach. Potem kazał iść naszym precz i nie denerwować go takimi pytaniami.

- Znaczy, że krasnoludy nie są takie potężne, jakby się niektórym zdawało - Horgrim zakotył się na piętach i przeciągnął, aż zatrzeszczały stawy. - My przed zielonoskórymi uciekamy i żyjemy, a oni chowają się pod ziemią i dostają w skórę.

- Dziś w nocy nie ważcie się myśleć o uciekaniu. - Vrotwulf wstał i wyprostował zdrętwiały kręgosłup. - Gurth trzyma wartę. Prześpijcie się choć trochę, póki możecie.

Vrotwulf skończył przeżuwać twardy kawałek zimnej sarniny i sięgał po bukłak, kiedy gwizd Hilidora przeciął wieczorną ciszę. Odkładając naczynie na ziemię, mężczyzna rzucił okiem na ciemniejące szybko niebo. Słoneczna tarcza zniknęła już za szczytami Szarych Gór i słaby blask ustępował miejscu ciemności nocy. Skąły na przełęczy rzucały coraz głębsze cienie, a widoczny za Grzbietem Olbrzyma skraj lasu, przybrał kolor złowrogiej czerni. Światło Mannsleiba ledwie przebijało się przez chmury, drugiego księżyca wcale nie było widać. Patrząc ostrożnie pod nogi Vrotwulf wspiał się na jedną z wyższych skał i padł na brzuch obok Hifidora. Pozostali wojownicy przemykali się w półmroku przełęczy, zajmując upatrzone wcześniej pozycje.

- Gdzie? - zapytał wódz i wysunął głowę ponad krawędź skały. Hilidor nie odpowiedział, bo też nie było takiej potrzeby.

Jeźdźcy wilków stali na stepie pomiędzy lasem a Grzbietem Olbrzyma. Setka, jęknął w myślach Vrotwulf. Każdy goblin trzymał w ręku zapalone łuczywo, dzięki czemu ludzie mogli z rosnącym strachem patrzeć na hordę. Wielkie wilki poszczekiwały i wyły, czując zapach padliny dolatujący z przełęczy, ale jeźdźcy trzymali je krótko.

- Są dobrze oświetleni - szepnął Hilidor, chociaż z tej odległości gobliny nie usłyszałyby nawet zwykłej mowy.

- Nic z tego - Vrotwulf pokręcił przecząco głową. - Łuki nie sięgną i oni dobrze o tym wiedzą. Dlatego mają pochodnie. Teraz się pokazują, żeby nas nastraszyć, ale zgaszają je przed atakiem.

- Co chcesz zrobić?

- Przełęcz to ich jedyna droga do rzeki. Na zbocza nie wjadą, są zbyt strome dla wilka obciążonego goblinem. Muszą uderzyć po dnie. Podzielimy się na dwie grupy. Dobrzy łucznicy zostaną na swoich miejscach, reszta zejdzie na dół.

Każ Hrolfowi i jego chłopcom przygotować kilka ognisk przy wjeździe na przełęcz. Rozpalą je na mój sygnał. Wtedy strzelcy będą widzieli tych zielonoskórych, którzy wpadną na przełęcz. Nie zginą od strzał, to wjadą prosto pod topory.

- Siła ich - Hilidor wytarł nos w skórzany rękaw. - Pięciu na jednego.

- Na dole trzeba będzie uważać na wilki - ostrzegł go Vrotwulf - Dziesięciu na jednego. Ze zwiadowcami wygraliśmy, bo mieli młode zwierzęta, źle wyszkolone. Te bestie wyglądają na stare sztuki, zaprawione w polowaniach. Będą skakać prosto do gardeł.

- Wierzysz, że ujdziemy stąd z życiem? - Hilidor odwrócił głowę i spojrzał prosto w oczy wodza.

- Szczerze? Nie. Ale uratujemy życie innym.

- Nie na wiele się zda takie pocieszenie.

- Bądź dobrej myśli, przyjacielu. Kiedyś każdy z nas musi umrzeć. Ta noc jest równie dobra jak każda inna...

- Patrz! - Hilidor uniósł się na łokciach i wskazał coś ostrzem włóczni. Vrotwulf spojrzał w tamtym kierunku. Kilku jeźdźców cofnęło się na boki, tworząc przerwę w szeregach hordy. Mężczyźni zmrużyli oczy na widok wjeżdżającej w wolne miejsce postaci. Potężny śnieżnobiały wilk, przerastający znacznie pozostałe drapieżniki, niósł na swoim grzbiecie zakapturzonego goblina. Jego szaty skrzyły się w migotliwym świetle pochodni feerią różnobarwnych kolorów.

- Płaszcz, naszywany klejnotami! - sapnął Hilidor - Ileż on musi być wart!

- Pomyśl, ile musi być wart ten, kto go nosi - wycedził przez zęby Vrotwulf. - Biały wilk, klejnoty i laska z nabitą czaszką niedźwiedzia... Nic ci to nie mówi?

- Ulryku, zmiłuj się! - Hilidor pobladał zauważalnie. - Czarownik?

- Muszą być na nas bardzo zawzięci. Plemiona rzadko stawiają zielonoskórym opór, a oni zwykle polują na nas dla zabawy. A tutaj zwierzyzna pokazała pazury. To musiało ich zdenerwować. Albo i ośmieszyć. Dla nas to bez znaczenia, mnie tam obojętne, z jakiego powodu trafię do ich kotła.

- Bezbożni ludożercy, drogo zapłacą za dzisiejszą kolację.

- Też w to wierzę, przyjacielu. Idź do Hrolfa, przekaż moje rozkazy.

- Ruszyli! - wykrzyczał ostrzeżenie Varsen. Vrotwulf rzucił jeszcze raz okiem za siebie, ku wylotowi przełęczy, gdzie czekał w pogotowiu Alfgar. Młodzieniec wiedział że na znak ognistej strzały, wystrzelonej przez Ansgara lub Eginolfa, ma gnać konia bez litości aż do rzeki, niosąc resztkę plemienia tragiczną wieść. Mamroczący coś pod nosem Kraki zaproponował wcześniej, by Alfgar nie czekał na zły obrót sytuacji, tylko od razu pojechał nad Skelte. Vrotwulf skarcił oszczepnika ostrymi słowami i przepędził do zbierania chrustu, ale posępny nastrój Krakiego udzielił się w końcu wszystkim pozostałym. Nikt już nie łudził się, że wyniesie głowę na karku z tej bitwy.

- Ramię w ramię! - Vrotwulf stanął na dnie przełęczy między Gurthem i Hrolfem. Do lewej ręki przywiązał drewnianą tarczę obitą futrem, w prawej trzymał swój kamienny topór. Kilkadziesiąt stóp przed linią ludzi płonęły z trzaskiem trzy ogniska. Vrotwulf czuł, jak włoski unoszą mu się na karku, a krew krąży coraz szybciej w żyłach.

- Gdzie te diabły są? - wysyczał Kraki i oparł oszczep o udo, by poprawić uwierający go opatrunek.

- Chodźcie do mnie! - na szczycie zbocza Vrotwulf dostrzegł sylwetkę Horgrima. Mężczyzna położył na ziemi swój łuk i uniósł w powietrze krasnoludzki topór. Stając w rozkroku kreślił nim młynki miotając jednocześnie plugawe wyzwiska. Księżycowe światło połyskiwało na metalowej głowicy broni. - Chodźcie, psie nasienie! Posmakujcie tego żelaza i...

Ustawieni w szeregu mężczyźni zmrużyli oczy, kiedy snop oślepiającego zielonego światła wystrzelił ponad krawędź urwiska i pochłonął Horgrima przy wtórze przerażającego huku. Skąpany w nieziemskich płomieniach wojownik, zaczął krzyczeć tak strasznym głosem, że na jego dźwięk nogi ugięły się pod Vrotwulfem. Horgrim upuścił topór i machał rozpaczliwie rękami próbując zdławić szmaragdowy ogień, ale płomienie zdawały się pożerać go jeszcze łapczywiej. Na zboczu, po przeciwnej stronie przełęczy,

rozległ się czyjś pełen rozpaczny krzyk, jęknęła puszczana cięciwa. Wystrzelona drżącą ręką strzału godziła Horgrima w bark, ale niemal natychmiast w powietrzu świsnęła druga. Ta trafiła prosto w serce. Krzyk płonącego żywcem mężczyzny umilkł wreszcie, a wtedy obrońcy usłyszeli wpadających na przełęcz jeźdźców.

- Przekłete diabły! - po policzkach Hrolfa płynęły łzy wściekłości. - Drogo zapłacą za swoje bluźniercze sztuczki!

- To ten szaman! - krzyknął Hilidor. - Ulryku, miej nas w opiece!

- Trzymać szyk! - wrzasnął Vrotwulf. - Nie gadać, oszczędzać oddech!

Pośród jęku cięciw i świstu strzał, pierwsze bure sylwetki przemknęły obok ognisk i potoczyły się po ziemi, naszpikowane drewnianymi pociskami. Jakiś goblin wpadł w płomienie, jego wysmarowane tłuszczem ubranie stanęło w ogniu. Vrotwulf uśmiechnął się mściwie, słysząc rozpaczliwy wrzask agonii. Za Horgrima!

Kolejni jeźdźcy pojawili się obok ognisk w chwili, gdy łucznicy nakładali na cięciwy nowe strzały. W ciemności rozświetlonej blaskiem płomieni i słabym światłem księżyca, Vrotwulf dostrzegł czerwone punkciki znaczące ślepią goblinów. Pochylił się lekko na ugiętych nogach i napiął mięśnie, czekając na nieuniknione zderzenie. Ktoś po jego lewej stronie zdążył jeszcze wciągnąć ze świstem powietrze do płuc. W następnej chwili na dnie przełęczy rozległ się przytłumiony huk uderzających w siebie ciał. Wilcza jazda wpadła na ciasny szereg Unberogenów.

Coś grzmotnęło w tarczę Vrotwulfa i niemal przewróciło go na plecy. Opuścił lewą rękę odsłaniając tors i ciał topoem, prosto między oczy oszołomionego uderzeniem goblina. Ciemna posoka zbryzgała pierś mężczyzny. Czarny wilk wpełznął swój łeb pod tarczę i zacisnął kły na udzie Vrotwulfa. Tłumiąc okrzyk bólu, wódz strzaskał mu czaszkę krawędzią tarczy. Ludzki szereg zaczął chwiać się pod naporem wilczej jazdy. Jakiś wojownik wrzasnął krótko, upadając na ziemię, z jego brzucha sterczała wbita głęboko włócznia. Dwa wilki natychmiast skoczyły na ofiarę, ucinając agonalny wizg kłapanieciami szczęk. Vrotwulf oderwał wzrok od nieruchomej postaci towarzysza, wyrzucił nogę do przodu w potężnym kopnięciu. Szarżujący na niego drapieżnik został uderzony prosto w nos. Coś tylko chrupnęło i wilk wyprężył się na wszystkich łapach. Z rozbitego nosa pociekła struga ciemnej krwi. Drgając konwulsyjnie zwierzę upadło na bok, przygniatając nogę jeźdźcy. Goblin zaczął krzyczeć z bólu, ale topór Vrotwulfa natychmiast zdjął mu głowę z ramion.

Grad ciosów zabębnił o tarczę wodza. Vrotwulf uskoczył w tył, przyklęknął i trzymając w górze tarczę, przeciągnął topoem po łapach wilków. Dwa okaleczone zwierzęta upadły tuż przed nim, wyjąk przeraźliwie, z ich pysków buchał mdlący odór. Skoczył pomiędzy wilki, uderzeniem tarczy przetrącił kark goblina po lewej stronie, topoem rozplątał tego po prawej. Hilidor minął go z boku, wpełznął włócznię w brzuch innego jeźdźcy. Zielonoskóry zaskrzeczał cienko i spadł z siodła. Jego wilk przewrócił Hilidora na ziemię sięgając kłami ku gardłu ofiary. Mężczyzna wpełznął lewe ramię w otwarty pysk zwierzęcia, trzymany w prawej dłoni kamiennym nożem pociągnął po gardle drapieżnika. Gorąca posoka zalała mu twarz i oczy. Zrzucił cielsko zwierzęcia z piersi i wstał chwiejnie. Na dużym kamieniu za jego plecami wyrosła czarna sylwetka dzierzącego maczugę goblina. Vrotwulf otworzył usta, by wykrzyczeć ostrzeżenie, ale wiedział już, że nie zdąży. Samotna strzała świsnęła w powietrzu i ugodziła napastnika w oko, jej grot wyszedł tyłem czaszki.

Hilidor nawet nie zauważył niedoszłego zabójcy. Krzyknął coś niezrozumiale i wskazał dłonią w głąb przełęczy. Vrotwulf ściał topoem dwa zachodzące go z boków goblina i kopniakami odrzucił skrwawione trupy do tyłu. Ręce zaczynały go boleć, ale zapomniał o zmęczeniu na widok śnieżnobiałego wilka, stojącego pomiędzy ogniskami. Siedzący na jego grzbiecie goblin przypatrywał się bitwie zmrużonymi ślepiami. Czaszka nabita na wierzchołek drewnianej łaski pulsowała złowieszczym szmaragdowym światłem, hipnotycznie przyciągając ludzki wzrok. Hilidor pierwszy otrząsnął się z oszołomienia. Wyszarpnął z goblńskiego trupa swoją włócznię i cisnął nią w szamana. Drewniany pocisk przeszył powietrze mierząc prosto w gardło czarownika. Vrotwulf wstrzymał oddech, ale zaraz wypuścił go z płuc z niedowierzaniem. Poświata otaczająca czaszkę niedźwiedzia, przybrała - na ułamek chwili - na sile. Włócznia w ostatniej chwili przed trafieniem odchyliła lekko tor lotu i przeszła goblina siedzącego w siodle po prawej ręce szamana. Martwy jeździec wypuścił z rąk toporek i spadł pod łapy swego wilka.

Hilidor wrzasnął z wściekłością i rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnej włóczni. W tej samej chwili trzy goblina dopadły go, skacząc ze zbocza przełęczy. Wywinął się im w karkołomnym uniku, ciosem pięści rozciągnął jednego na ziemi. Kiedy chwycił za gardło następnego, trzeci doskoczył z boku i wbił człowiekowi włócznię między żebra. Vrotwulf zawył przeciągle gruchocząc tarczą czaszkę najbliższego jeźdźcy. Kątem oka zauważył, że szczeka czarownika porusza się w dziwny, rytmiczny sposób. Dopiero po

chwili uświadomił sobie, że ten grymas to śmiech i krew zagotowała mu się w żyłach. Wiedziony impulsem, rzucił swą bronią w kierunku czarownika. Topór zafurkotał w powietrzu, błyskawicznie pokonując dystans pomiędzy unberogeńskim wodzem i zielonoskórym szamanem. Uderzył dokładnie tam, gdzie tego oczekiwał Vrotwulf. Biały olbrzym zadygotał na potężnych łapach, kiedy ostrze topora trafiło go w korpus i niemal posadziło na zadzie. Zwierzę przez kilka sekund trwało w bezruchu, jakby ignorowało wbitą w tułów broń, potem upadło na bok.

Szaman zdążył zeskoczyć z konającego wilka, unikając zgniecenia pod jego cielskim. Popatrzył z niedowierzaniem na zdychające zwierzę, dotknął jego łba z wahaniem, dziwnie delikatnym gestem. Kiedy oderwał wzrok od albinosa i spojrzął na Vrotwulfa, w jego oczach płonęła furia i żądza mordy. Wykrzyczał coś, czego wódz nie dosłyszał pośród bitewnej wrzawy. Emanująca zieloną poświatą czaszka rozbłysła mocniej. Vrotwulf uświadomił sobie znaczenie tego zjawiska w tej samej chwili, gdy wiązka szmaragdowych płomieni wystrzeliła w jego kierunku. Skoczył w bok, zginając się wpół. Topiona nieziemskim żarem skała zasyczała za jego plecami, w powietrze buchnął smród płonącego mięsa. Odłamki kamieni uderzyły go w plecy, pozbawiając równowagi. Upadł na skały i krzyknął z bólu czując, jak lewa noga łamie się z suchym trzaskiem w połowie łydki. Trąc załzawione oczy dostrzegł, że czarownik biegnie w jego kierunku. Magiczną laskę odrzucił za siebie jakby nie miała już ona żadnej wartości. Skacząc z kamienia na kamień niczym wielka żaba, goblin wyciągnął spod swego płaszcza przedmiot przypominający grzechotkę. Był coraz bliżej, mamrocząc coś bełkotliwie pod nosem.

Walcząc z bólem złamanej nogi, Vrotwulf poczołgał się po kamieniach do tyłu, próbując sięgnąć drżącymi palcami po pękniętą goblinską włócznię. Szaman okrążył go niespiesznym krokiem i kopnięciem usunął ułamaną broń z zasięgu rąk wojownika. Kościany instrument trzymany przez czarownika w lewej ręce zagrzecotał przeciągle. Nie przerywając rytmicznego potrząsania goblin zaczął mamrotać coś pod nosem. Vrotwulf odwrócił się na plecy i chwycił leżący obok nóg kamień. Skalny odłamek poleciał w kierunku głowy szamana, ale goblin uskoczył z zadziwiającą zręcznością i roześmiał się nienawistnie. Nóż o ząbkowanym ostrzu błysnął metalicznie w jego prawej ręce.

- Kraki! Hrolf! Do mnie! - wódz rozejrzał się na boki szukając wzrokiem towarzyszy. Za plecami słyszał wściekłe okrzyki i szczęk broni, ale nikt nie odpowiedział na wezwanie. Szaman podszedł bliżej. Vrotwulf uspokoił się i obserwował ruchy przeciwnika, zdecydowany wykorzystać pierwszą okazję do kopnięcia szamana zdrową nogą.

- A fanka wish ud małaku - czarownik uśmiechnął się jeszcze szerzej, prezentując drobne ostre zęby. Vrotwulf zauważył, że część z nich została spiłowana w szpic, nadając goblinowi wygląd drapieżnika. Zielonoskóry zatrzymał się tuż poza zasięgiem nogi człowieka i zaczął podrzucać ostrze w dłoni.

- Chodź bliżej, psi synu - wysyczał Vrotwulf. - Zrób użytek z tego noża!

Gorl hyrw ramgar! - goblin wykrzywił wargi w pogardliwym grymasie. Jednym, płynnym ruchem pochwycił opadający w powietrzu nóż i cisnął nim w leżącego mężczyznę. Vrotwulf krzyknął, gdy zębate ostrze przebiło mu prawe udo. Metalowy szpic przeszedł na wylot przez mięśnie ślizgając się po kości, gorąca krew zaczęła kapać na kamienie. Łzy bólu przysłoniły mu na chwilę ostrość widzenia. Zacisnął zęby, aż zatrzęszczały pod naciskiem szczęk i zamrugął oczami. Goblin stał tuż przed nim, lekko pochylony, długim ruchliwym językiem przesuwając po ostrych kielkach nie odrywając wzroku od ludzkiej krwi. Vrotwulf zamknął oczy, czekając na ostateczny cios.

Mamrotanie czarownika zmusiło go do otwarcia powiek. Szaman grzebał w swojej torbie, podskakując nerwowo i zerkając co chwila na krwawiącą ranę. Kiedy po chwili odrzucił torbę na kamienie, w jego ręce lśnił złowieszczym blaskiem żelazny hak. Vrotwulf zadygotał zdjęty grozą. Wiedział, do czego służyło to barbarzyńskie narzędzie. Dwa lata temu jego szczep natrafił na szczątki myśliwskiej osady w Szarych Górach. Wśród wypalonych namiotów leżały trupy zabitych Unberogenów. Elke nic nie mówiła po obejrzeniu ciał, ale na corocznym Zgromadzeniu opowiedziała, że wszystkim pochwyconym wojownikom mordercy wyrwali żywce serca, posługując się w tym celu metalowymi hakami. Widząc oblizującego się nieustannie goblina, Vrotwulf zrozumiał nagle, co stało się z ludzkimi organami.

Ulryku, zmiłuj się! Ulryku, Panie Wilków, ocal swego sługę! - zęby mężczyzny zaczęły szczekać tak mocno, że omal nie odgryzł sobie języka, rozszerzonych oczu nie odrywał od haka. Szaman potrząsnął raz jeszcze narzędziem i skoczył prosto na brzuch Vrotwulfa. Wojownik jęknął przygnieciony ciężarem napastnika, zaszamotał się nieporadnie, próbując zrzucić goblina na ziemię.

- *UZ MERR GAFFA!!!* - trzymany oburącz hak wznosił się w górę, światło Mannsleiba zabłysło na jego ostrzu. Szaman odrzucił głowę w tył i z jego gardła wydarł się tryumfalny wrzask. Vrotwulf krzyknął krótko.

Dziki wrzask umilkł niczym ucięty nożem, wzniesiony do ciosu hak zastygł w rękach szamana. Goblin sapnął raz, potem drugi, patrząc w górę, gdzieś ponad Vrotwulfa. Jego czerwone oczy błyszczały, dziwnie okrągłe i pełne zaskoczenia.

- *Gnarr mozdrak... Gnarr mozdrak!* - goblin zadygotał, a w jego głosie pojawiła się nuta panicznego strachu. - *Wot drukk! Mozdrak urahattab...*

Nie odrywając oczu od trzęsącego się coraz bardziej czarownika, Vrotwulf zacisnął dłoń na rękojeści białego w udo goblinińskiego noża. Szaman zaczął zawodzić dziwnie wysokim głosem, hak wypadł z jego rąk, szczęknął uderzając w kamienie. Mężczyzna zagryzł do krwi usta i szarpnął z całej siły tkwiącą w ciele broń. Fala bólu niemal odebrała mu przytomność, zdołał jednak poderwać nóż w górę i wepchnąć zębate ostrze prosto w gardło szamana. Rozległ się obrzydliwy dźwięk rozcinanej skóry, czarna krew pociekła po nożu, plamiąc dłoń człowieka. Puścił z wstrętem rękojeść, jakby się bał, że posoka czarownika splugawi jego ciało. Goblin wytrzeszczył ślepią i chwycił oburącz białe w tchawicę ostrze. Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem na Vrotwulfa, potem ponownie wznosił wzrok ku nocnemu niebu.

- *WOT DRUKK! WOT DRUKK!* - wycharczał skrzekliwie, dławiąc się zalewającą płuca krwią. Konwulsyjny dreszcz wygiął jego ciało. Vrotwulf szarpnął się i zrzucił konającego czarownika na ziemię. Zaciskając dłonie na krwawiącym szeroką strugą udzie, przewrócił się na bok i podążył za wzrokiem umierającego goblina.

Westchnął z niedowierzaniem i zachwytem zarazem. Wiatr rozwiął chmury i Mannslieb świecił jasno na niebie, ale jego blask przyćmiewała inna poświata. Wielka czerwona kula ognia przesuwająca się po czarnym nieboskłonnie, ciągnąc za sobą dwa płomieniste warkoczki.

Ciągle jeszcze żyjący szaman podniósł się w jakiś niewyobrażalny sposób na kolana, a w jego szeroko otwartych oczach odbijało się krwawym blaskiem światło gwiazdy. Wykrzywione w grymasie przerażenia usta wyszeptwały kilka niezrozumiałych słów, uwalniając potok czarnej krwi. Kolejny dreszcz agonii wstrząsnął ciałem czarownika.

- *Zdechnij wreszcie!* - Vrotwulf chwycił duży kamień i cisnął nim w brzuch szamana. Wysiłek włożony w ten ruch okazał się zbyt wyczerpujący dla obolałego organizmu wojownika. Świat zawirował mu przed oczami i zgasł. Nawet nie poczuł uwierających w plecy i uda kamieni, kiedy upadał bezwładnie na ziemię.

Najpierw pojawił się zapach. Dziwnie znajomy, choć nie potrafił go zidentyfikować. Potem czyjaś ręka dotknęła jego twarzy, uderzając delikatnie w policzki. Próbował ją zignorować, nie chcąc przerywać błogiego stanu nieświadomości. Wtedy poczuł ból, emanujący z niemal każdego fragmentu posiniaczonego ciała. Sycząc przez zaciśnięte zęby, otworzył oczy.

Elke uśmiechnęła się, widząc jego spojrzenie. Szałwia. Szałwia i rumianek, i jeszcze kilka innych roślin, których nie potrafił nazwać. Zapach ziół okrywał starą kobietę, niczym niewidzialny płaszcz.

- Witaj w krainie żywych Vrotwulfie - zielarka przyłożyła zimny kompres do rozciętego czoła mężczyzny. Wódz poruszył się nieporadnie, próbując ogarnąć wzrokiem otoczenie. Natychmiast tego pożałował. Mięśnie karku i pleców zdawały się palić go żywym ogniem. Ponad twarzą Elke widział strzelające w słoneczne niebo wierzchołki sosen, gdzieś opodal pochwycił słuchem charakterystyczny szum wody.

- Jestem...

- Nie mów wiele, brakuje ci sił. Jesteś w obozie nad Skelte.

- Co z przełęczą, z innymi?

- Ci, którzy przeżyli są z nami. Poczekaj chwilę. Hrogarth!

Patrzył w lazurowe niebo, z rzadka upstrzone kłębiastymi chmurami. Promienie słońca raziły go, więc przymknął oczy i otworzył je dopiero czując nad sobą czyjś cień. Hrogarth wyszczerzył w szerokim uśmiechu zęby. Lewy policzek miał obdarty ze skóry do żywego mięsa i straszna rana wyzierała spod bezustannie poprawianego opatrunku. Jedną rękę nosił na temblaku z drewna i skórzanych rzemyków.

- Ciesz się, że wróciłeś do zmysłów, przyjacielu.

- Mów...

- Bogowie nas wybawili. Już zęgnąłem się z życiem kiedy na niebie zabłysnęła ta gwiazda. Zielonoskórzy wpadli w panikę po śmierci czarownika, pierwszy raz widziałem coś takiego. Jakby stanęli oko w oko z górską niedźwiedzicą. Zaczęli uciekać, przewracając siebie nawzajem. Wrzeszczeli, jak potępione dusze. Znaleźliśmy cię przy trupie szamana. W łapie ciągle jeszcze trzymał nóż, którym wykłuł sobie ślepią.

- Wykłuł?

- Jakby nie mógł patrzeć na znak bogów. Ulryk nas uratował. Choć nie wszystkich.

- Kto odszedł ?

- Horgrim... Alfgar, Hilidor, Varsen padli od włóczy goblinów. Gurtha rozszarpały wilki. Soric próbował uciekać, strzelili mu w plecy z łuku, dobili nożami. Hrolf jest ciężko ranny, ma przebite płuco.

- Jeśli przetrwa dwa dni, będzie żył – oświadczyła Elke.

- Jego synowie?

- Żyją, chociaż Eginolf do nikogo się nie odzywa. To on zastrzelił Horgrima i zgryzota go teraz zżera.

- Przyślijcie go tutaj. Albo niech Kraki przemówi mu do rozumu. Każdy z nas zrobiłby to samo na jego miejscu.

- Kraki? - Hrogarth pokręcił przecząco głową - Krakiego też nie ma wśród nas. Pan Wilków wstąpił w niego podczas bitwy. Ansgar mówił, że walczył niczym demon. Kiedy stracił topór, gołymi rękami rozszarpał gobliny na strzępy, zębami rozrywał im gardła. Poszedł za tamtymi, kiedy rzucili się do ucieczki i już nie wrócił. Ulryk odebrał mu rozum, przyjacielu. Stał się wilkiem w ludzkiej skórze.

- Taka była wola Pana Wilków. Musimy uczcić jego łaskę i opatrzność.

- To nie był znak Ulryka - Elke pokręciła głowę w zamyśleniu - Pan Wilków włada drapieżnikami i zimową porą, ale nigdy nie czyni znaków na niebie. Widziałam tę gwiazdę. To nie Ulryk ani jego brat Taal.

- Komu zatem mamy złożyć dziękczynną ofiarę? - Vrotwulf spróbował dotknąć palcami rany na czole, ale Elke uderzyła go lekko w dłoń.

- Nie wiem, Vrotwulfie. To był bardzo dziwny znak. Gwiazda z ognistymi warkoczami... nikt ze starszych nigdy nie opowiadał o takim omenie. Słyszałam, co wojownicy mówili o bitwie na przełęczy i zastanawia mnie ten przemożny strach goblinów. Czarownik musiał wiedzieć, jakie znaczenie ma ten cud. To nieznane jeszcze prorocstwo i nie nam rozrząsać teraz jego przesłanie. Będziemy o tym mówić na Zgromadzeniu. Musisz spać, Vrotwulfie.

Elke podniosła się z kucków, by odejść, ale Hrogarth trącił ją porozumiewawczo w ramię. W pierwszej chwili spojrzała na towarzysza z niepokojem, zaraz jednak na jej ustach pojawił się przepraszający uśmiech.

- Wybacz starej kobiecie, Vrotwulfie. W natłoku wszystkich tych spraw zapomniałam przekazać ci najważniejszą wieść. Tej nocy, kiedy walczyliście na przełęczy, Atzel urodziła syna. Dziecko żyje.

- Syna?! - Vrotwulf zakrztusił się przetykaną śliną.

- Tak, wodzu. Twego pierworodnego. Pamiętam, że pozwoliłeś Atzel wybrać imię dla dziecka, więc nadała mu je zaraz po urodzinach.

- Syna?! - pełne niedowierzania i radości oczy Vrotwulfa wędrowały od twarzy Elke do Hrogartha i z powrotem, jakby wiadomość nie docierała do jego stępionego bólem umysłu.

- Tak, przyjacielu. Na imię mu Sigmar.

Krzysztof Bujara